

Jan Serafin

Moje życie we wspomnieniach

Rocznik Kolbuszowski 6, 122-135

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOJE ŻYCIE WE WSPOMNIENIACH

Najpierw napiszę o moich rodzicach, to co w zasięgu mej pamięci pozostało, jak i też o rodzicach mojej żony według wspomnień moich rodziców oraz dziadków. Dotyczy do rodzinnej miejscowości Dzikowca oraz okolic.

Wieś rodzinna moja posiada duże tradycje, które publikowane są w wielu wydawnictwach dotyczących swym zasięgiem XVI wieku.

Moje pochodzenie: dziadek **Jan Serafin** wywodzi się z Wilczej Woli; babcia - **Serafin Katarzyna** z domu Starzec; ojciec - **Serafin Józef**; mama - **Serafin Wiktoria** z domu Matejek i ja **Serafin Jan** ożeniłem się z Żołdak Emilią z Wilczej Woli.

Pochodzenie żony: dziadek - **Żołdak Walenty** a babcia - **Wiktoria** z domu Byra; ojciec - **Żołdak Wojciech** a matka - **Wiktoria** z domu Kopeć.

Rodzeństwo Jana Serafina i Katarzyny: **Karolina, Agnieszka, Maria i Józef. Mateika Maciej a i Agnieszki: Michał, Jan, Katarzyna, Jadwiga, Maria, Teodor i Wiktoria.** Serafina Józefa i Wiktorii: **Jan, Julian, Józefa i Bronisław. Żołdak Walenty i Wiktoria: Wojciech, Ewa, Katarzyna, Maria, Stefania i Aniela. Żołdak Wojciech i Wiktoria: Władysław, Emilia, Janina, Jan.** Serafin Jan i Emilia: **Eugeniusz, Zofia, Maria, Józef i Marek.**

Pamięć moja sięga lat okresu międzywojennego (1930 - 2000).Jako mały chłopiec wsłuchiwałem się w opowiadania moich przodków żyjących w zaborze austriackim o losach i przeżyciach oraz o ciężkiej pracy zarobkowej poza granicami nie istniejącej na mapie Polski. Dziadek Matejek Maciej pieszo wyruszał w podróż do Rumunii do pracy na roli u zamożnych gospodarzy, przynosząc ze swojej wędrówki ziarna kukurydzy w kufunku drewnianym na plecach ciężko zapracowanych. Opowiadał o swojej podróży, pięknych krajobrazach, wysokich górach, żyznych ziemiach i życiu bogatych ludzi. Tatuś mój jak wielu wyjeżdżał do Prus, na roboty sezonowe. W roku 1930 wyjechał do Francji i tam przebywał do 1936 r. Mama zaś często opowiadała o życiu i pracy swojej, jako mała dziewczynka dostała się do służby u miejscowego kierownika szkoły Jeziurkowskiego z czego była bardzo zadowolona, uczyła brata i mnie ładnych piosenek,

pieśni kościelnych, ludowych z okazji wesel, dożynek i innych uroczystości kościelnych i państwowych. Mieszkaliśmy w małym domku drewnianym krytym słomą z jedną izbą i małą sionką, przybudowana mała komórka służąca jako spiżarka. Ziemię jaką posiadaliśmy to 0,5 ha tak że trudno było nam żyć. Latem matka ciągle pracowała u gospodarzy przy obróbce ziemniaków, przy żniwach, sianokosach oraz wykopkach. Najtrudniejszym okresem to był przednówek. Chleb i ziemniaki oraz kapusta stanowiły główny pokarm oraz mleko, którego też nie zawsze było. Gdy miałem 7 lat poszedłem do klasy pierwszej w roku 1933. W szkole nie miałem trudności w nauce, na uroczystościach szkolnych deklamowałem wiersze, jak np. "Wojenka" ze Stefcją Zubą: "Dokąd jedziesz Jasiu na wojenkę, Kasiu na wojenkę daleko; weźże i mnie z sobą, pojedę ja z Tobą.." itd.. Wspominam również przedstawienie "Powrót taty", moja rola to udział w grupie dzieci z mamą idących pod krzyż modlić się o szczęśliwy powrót taty. Ksiądz Franciszek Wojdyła prowadził kółko krucjaty dla dzieci i tu też mój udział w przedstawieniu w roli apostoła. Po powrocie taty z Francji rodzice kupili ziemię 1,25 ha, przebudowali dom, gdzie była duża izba, kuchnia z dużym piecem, komora i ganek a całość domu pokryta dachówką. Wybudowano budynek gospodarczy, stajenkę i klepisko oraz chlewek pod jednym dachem. Mieliśmy już własną krowę, co stanowiło nieco lepszą egzystencję życiową. Tato dorywczo pracował we dworze Jana Paska Błotnickiego a mama u gospodarzy takich, jak: Sito Jan, Bieleń Jan, Opaliński Adam, Ciupiński Andrzej. Życie było nadal bardzo ciężkie. Prenumerowaliśmy Rycerz Niepokalanej", jak też "Mały Dziennik". Dom był miejscem spotkania sąsiednich gospodarzy, już od jesieni do wczesnej wiosny co wieczór przy lampie naftowej już jako uczeń klasy trzeciej czytałem płynnie ciekawsze wydarzenia uczestnikom. Byli i tacy którzy brali udział w pierwszej wojnie światowej, służyli w armii austriackiej czy legionach opowiadali o niewoli i bojach między wojskami carskimi a austriackimi. Legioniści wspominali o wodzu Józefie Piłsudskim jak go nazywali żołnierze "Dziadkiem" albo "Ojcem". Nigdy tego nie zapisywałem ale niektóre dzieje utkwily mi w pamięci. W naszej miejscowości były organizacje, jak: Związek Strzelecki, Związek Młodzieży Wiejskiej RP "Wici" i Polskie Stronnictwo Ludowe oraz inne ugrupowania.

Zbliżały się lata okupacji hitlerowskiej. Trudności gospodarcze m.in. bezrobocie oraz nasilające się bunty chłopskie doprowadzały do strajków na wsi. Wszystko to budziły obawy wybuchu drugiej wojny światowej.

Miesiąc sierpień ostatni w roku przed wybuchem wojny był pełen napięcia, niepewności jutra i wreszcie ogłoszona mobilizacja. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku nastąpiła pełna mobilizacja. Drogą do Widelki podążali z wozami i końmi do zakwalifikowania się jako transport wojskowy. Pierwsi z kartami powołania żegnani byli przez swoich najbliższych, płakały matki o synów, żony o mężów, dzieci o ojców. W ostatni dzień przed

odejściem odbyła się w kościele parafialnym msza pożegnalna. Niejeden już do Ojczyzny nie powrócił, poległ w bojach które nie trwały długo, inni przez granicę południową poprzez Rumunię dostali się do Francji.

1 września 1939 roku o godzinie 4.30 nastąpił napad wojsk hitlerowskich na Polskę. Na nic hasła głoszone przez rząd polski "nie damy się -nie damy płaszcza ani guzika" nie spełniły się. Bohatersko broniły się dywizje polskie, armie hitlerowskie zmechanizowane tak wojska lądowe, jak i powietrzne niszczyły słabe jednostki wojska polskiego. Samoloty bojowe siały postrach i panikę. Uciekający żołnierz, policja, ludność cywilna podążała dniem i nocą na wschód by tam dokonać oporu wroga. W dniu 9 sierpnia 1939 roku doszło do bitwy wojsk polskich z przeważającymi siłami hitlerowskimi w okolicach Kolbuszowej. Zmęczeni, głodni i spragnieni żołnierze w sadzie Bielenia Jana w Dzikowcu odpoczywali by co zjeść, ustawili w kozły swoją broń i nie dokończyli posiłku bo od strony zachodniej zaterkotały karabiny maszynowe, do tego pojedyncze strzały artyleryjskie, w mgnieniu oka opuściły sad z trzaskiem broni i płotów, w popłochu znikli mi z oczu. Po zachodniej stronie widnokręgu, ukazały się kłęby dymu i powstała jak gdyby zasłona dymna z której buchały płomienie ognia. Walka ta nie trwała długo, zamilkły głosy karabinów maszynowych i broni ciężkiej. Na horyzoncie ukazała się czarna potężna bryła, cóż to było? To czołg hitlerowski, który podążał za uciekającymi żołnierzami polskimi rozproszonymi ze zwartej kolumny. Czołg zjechał z drogi głównej w kierunku Dzikowca - Góry gdyż na polach weryńskich żołnierz siał do niego z niedalekiej odległości z broni maszynowej. Niemcy nie strzelali do niego, był bezbronny, nie posiadał amunicji. Ten straszny wówczas w moich oczach potwór zawrócił w kierunku cmentarza i z kolei pojechał w kierunku Raniżowa.

Cisza grobowa nastąpiła w całej wsi, strasznie w tym wieczorze i nocy wyglądało niebo, na wschodzie noc jasna gwiazdzista, zachód spowity w czerni tu i ówdzie czerwienią ognia. Mieszkańcy niepewni dnia ani godziny czekali nowego, ale był to dzień niepewnego jutra, tak jak każdy dzień okupacji. Była to sobota, w niedzielę dotarły wiadomości, że spłonęła Kolbuszowa miasto, wieś Kolbuszowa Dolna i Górna. W lesie między Kolbuszową a Werynią pozostało pobojuwisko: tabory z bronią i żywnością, zabici i ranni żołnierze, zapasy żywności. Była błoga cisza a od czasu do czasu przelatywały niemieckie samoloty siejąc postrach wśród ludności. W dniu 5 września 1939 roku wysoko w blasku słońca jesiennego samolot niemiecki bombardując naszą wioskę nie trafił w zabudowania, lecz po drodze polnej Bielenia Józefa i Stępnia spadające bomby eksploatowały tworząc potężne jamy i rowy. Po kilku dniach na drodze głównej Kolbuszowa - Sokołów pojawiły się kolumny wojsk niemieckich podążające na wschód. Bezbronna ludność uchodząca na wschód w lęku i niepewności wraca z powrotem do swych miejscowości, pozostawiając wcześniej rodzi-

ny i swój dorobek. Tak jak tydzień temu wędrowali na wschód, tak teraz wracają zmęczeni i niepewni jutra przed ciemną okupacją niemiecką. Wracali cywile, policjanci, ale wracali też żołnierze na komach z lasów położonych między Sokołowem, Niskiem i Tarnobrzegiem. W tych lasach złożyli broń a sami pojedynczo a szczególnie nocą podążali do domu. Smutny to widok wędrujących żołnierzy. Polska przestała istnieć na mapie Europy, naród pozostał zdany na los okupanta. Nikt nie przewidział, że pozostawiony będzie pod okupacją. Nauka w miejscowej szkole nie odbywała się. Zostały utworzone szkoły z nauką języka polskiego, matematyki, przyrody, nie było historii i geografii. Zostały zorganizowane lekcje tajnego nauczania. To zaledwie niewielkie grupy korzystały z tego. Wielu ludzi młodych wyjechało do Rzeszy, gdzie zatrudnieni byli na gospodarstwach niemieckich. W miarę jak czas upływał okupant nakładał obowiązki (kontyngenty) na mięso, bydło, mleko, miód i wiele innych. Rozpoczęła się też akcja obowiązkowych wyjazdów, gdyż brak było siły roboczej w Rzeszy i to osłabiało gospodarkę. Już od 17 lat i starszych wyznaczano na wyjazd, jednak nie wielu wyjechało. Ludzie się ukrywali a szczególnie młodzi. Ja jako młody chłopak poszedłem by uniknąć wyjazdu do Rzeszy do gospodarstwa (stryja i ciotki), tak nazywano rodzeństwo Pasków Franciszka i Wiktorii ludzi w podeszłym wieku. Gospodarstwo o obszarze 5 ha musiałem niemal sam obrobić. Nie dość, że byłem słaby i wątły nie mogłem podołać początkowo ciężkiej pracy. Rozkład dnia to o godzinie 5-tej rano karmienie inwentarza (3 krowy i koń), mielenie w żarnach, które były zablombowane, młócenie zboża oraz wywóz drzewa z lasu z Wilczej Woli na składnicę do Dzikowca. Ominęła mnie służba w junakach. Jako jeden z 16 kolegów zostałem zwolniony z niej otrzymując kategorię niezdolnego do tejże służby. Zimy w latach 1940 - 1943 były bardzo śnieżne, mroźne i nie zwalniały z obowiązku wywozu drzewa z lasu. Wówczas każdy z mieszkańców zobowiązany był do odśnieżania łopata drogę główną Kolbuszowa - Raniżów. Po trzech latach rodzice zabrali mnie do domu i od 21 stycznia 1944 roku zostałem zatrudniony w miejscowym dworze jako pracownik w ogrodzie oraz w różnych pracach polowych. Wreszcie nastął miesiąc lipiec 1944 r. i wojska niemieckie w pośpiechu uciekają, atakowane niejednokrotnie przez samoloty sowieckie, przede wszystkim przez myśliwce. Radość była wielka a zarazem niepokój, gdyż wojska te doszły do granic Wisły i nastąpiła przerwa w walkach. Jednostki tej armii dotarły ze wszystkimi rodzajami wojsk. Żołnierze rozlokowali się po ziemiankach a oficerowie po domach, przeważnie dowódcy. Przygotowywali się oni do natarcia, które miało nastąpić w styczniu 1945 r.. Ludność miejscowa musiała pracować przy kopaniu okopów, jak też niwelowania terenu na obszarach ziemi pomiędzy Dzikowcem a Lipnicą, tam stacjonowały jednostki lotnicze. Ja spośród innych pracowałem również z łopata.

17 stycznia 1945 roku nastąpiło natarcie artyleryjskie wspierane przez

lotnictwo i czołgi. Wracali ranni żołnierze we dworze, lokowano ich w szpitalu wojskowym. Wielu z nich pozostało na polskiej ziemi. Następuje organizowanie administracji, poczty, milicji i szkół. Ja również marzyłem o tym by uzyskać wykształcenie, lecz najpierw trzeba było mieć szkołę podstawową, gdyż ukończone 6 klas nie wystarczało na kontynuację dalszych studiów. Został zorganizowany kurs klasy siódmej, który ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym. Z Kolei w Kolbuszowej Inspektorat Oświaty organizował 6 - cio miesięczny kurs pedagogiczny dla kandydatów do zawodu nauczycielskiego. O przyjęciu na kurs decydował egzamin wstępny, pisemny i ustny z języka polskiego i matematyki. Egzaminatorami byli nauczyciele gimnazjalni. Z pośród 50 kandydatów mogło być zakwalifikowanych tylko 30. Zwolnieni z egzaminu ustnego byli ci, którzy prace pisemne napisali na ocenę bardzo dobry. Były dwa tematy z literatury i jeden dowolny. Pięciu zostało zwolnionych z egzaminu ustnego z języka polskiego a wśród nich byłem i ja. Nauka odbywała się w auli gimnazjum w Kolbuszowej a wykładowcami byli profesorowie gimnazjum. Po 6 miesiącach odbył się egzamin pisemny i ustny w obecności komisji, jak też poprzedzała ten egzamin praktyka pedagogiczna w szkole nr 1 i 2 w Kolbuszowej. Pracy było wiele ale wybitni pedagodzy dawali z siebie wszystko by nas przygotować do tak odpowiedzialnego zawodu. Po zdaniu egzaminu została zawierana umowa jako nauczyciela niekwalifikowanego z Inspektorem Szkolnym a był nim wówczas wybitny pedagog Stanisław Przybyło. Zostałem skierowany do pracy w Szkole Podstawowej w Wilczej Woli. Razem ze mną skierowani byli Józef Zemka, Adam Kopeć i Aniela Kopeć. Pracę tą rozpoczęliśmy 15 marca 1946 r.. Kierowniczką szkoły w tej wsi była żona leśniczego pani Fabioniska, która była nauczycielką i naszą matką. Wprowadziła nas na właściwą drogę. Była wymagająca ale serdeczna, czuła na los każdego człowieka.

Warunki pracy były bardzo ciężkie, brak pomieszczeń do nauki, budynek drewniany niewykończony bez podłogi i ławek, jedynie w leśniczówce były znośne warunki, zaległe roczniki uczniów. Wieś ta przez cztery lata pod okupacją niemiecką była wysiedlona a domy zniszczone. Dzięki ofiarności miejscowego społeczeństwa dokończono budowę nowej szkoły z trzema izbami lekcyjnymi. Warunki pracy uległy znacznej poprawie. Moje zaangażowanie w pracy zawodowej i społecznej dawało mi zadowolenie. Powstał amatorski zespół teatralny, gdzie graliśmy sztuki, jak np. " Młynarz" który zyskał bardzo duże uznanie. Rozpoczęliśmy dla dorosłych kursy dla analfabetów, braliśmy udział w pracach społecznych na rzecz szkoły i środowiska. Zorganizowaliśmy wycieczkę do Rzeszowa z kolegą Adamem Kopciem. Mieszkańcy sami furmankami dowieźli dzieci i nas z dwoma wychowawcami do Dzikowca na przystanek autobusowy PKS. Wielkie przeżycie dla młodzieży, jazda autobusowa była czymś nadzwyczajnym dla dzieci. My jako niekwalifikowani nauczyciele dojeżdżaliśmy do Gorlic gdyż

tam była nasza zaoczna uczelnia pedagogiczna, trwająca od 1946 do 1951 roku. Praca zawodowa i własna nauka uwieńczona sukcesem. Otrzymałem świadectwo ukończenia zaocznie Liceum Pedagogicznego. Jako nauczyciel kwalifikowany w dalszym ciągu musiałem się dokształcać. W 1949 r. ożeniłem się w Wilczej Woli z Emilią Żołądk.

W 1945 r. w kwietniu po Wielkiej Nocy w sąsiedztwie moich teściów wybuchł pożar. W niewielkiej odległości dom sąsiada stanął w płomieniach. Ogień się rozprzestrzenił, jednak dzięki ofiarności miejscowych mieszkańców udało się uratować nasz dom. Straży w tej miejscowości nie było. Telefon jedynie na posterunku w leśniczówce odległej o 2 km. Straż pożarna w Kolbuszowej mimo, że zawiadomiona nie dojechała na miejsce w odpowiednim czasie. Kiedy już dogasał pożar przybyli strażacy z komendantem powiatowym a był nim Józef Bieleń, mój sąsiad z Dzikowca. Przeprowadził wywiad ze sołtysem Rębiszem Walentym, z komendantem Sitko Adamem i ze mną. Pytał jego w jaki sposób nie dopuściliście do dalszego rozwinięcia ognia, czym posługiwaliście się? Otóż jedyną bronią z pożarem była woda z miejscowych studzien i piasek sypany na ściany domu zagrożonego. Postanowiliśmy zwołać zebranie w celu założenia Ochotniczej Straży Pożarnej. Odpowiednie dokumenty złożono w Komendzie Powiatowej Straży Pożarnej wraz ze składem zarządu oraz listą ochotników. Ręczna sikawka strażacka była jedynym podstawowym środkiem gaśniczym, poza tym w posiadaniu były 2 bosaki, 4 topory, 6 wiader i 8 łopat. Zasoby materialne i budżet wówczas nie istniały. Można było jedynie licząc na pomoc Powiatowej Komendy Straży Pożarnej. W tymże 1952 r. zostałem przeniesiony ze Szkoły Podstawowej w Wilczej Woli na stanowisko kierownicze w Hadykówce.

Pracę objąłem z dniem 15 sierpnia 1952 r.. Nie najlepsza była sytuacja jeżeli chodzi o bazę lokalową, podobnie jak w Wilczej Woli. Były dwie izby lekcyjne w drewnianym budynku oraz przybudówka jednoizbowa służąca jako mieszkanie dla mnie z rodziną: ja, żona i dwoje dzieci. W szkole o niskim stopniu organizacyjnym było zatrudnionych 3 nauczycieli z klasami łączonymi. Ze względu na brak pomieszczeń została wynajęta izba lekcyjna u Pawła Posłusznego. W tym czasie organizowana była spółdzielnia produkcyjna na ziemi z reformy rolnej oraz na gruntach scalonych biegnących od Mazura Józefa do Ziółkowskiego. Władze powiatowe czyniły starania o wybudowanie nowej szkoły, gdyż szkoła murowana podczas okupacji hitlerowskiej została zburzona. Sprawa dokumentacji należała do inspektoratu szkolnego. Moim obowiązkiem było powołanie Komitetu Budowy Szkoły na ogólnym zebraniu wiejskim. Sołtys Chmielowiec Andrzej tradycyjnym zwyczajem zawiadomił mieszkańców tak że uczestniczyło w nim 100 %. Udział w zebraniu wzięli udział również przedstawiciele władz powiatowych zarówno administracyjnych, jak i politycznych. Zadaniem dla obywateli było podjęcie zobowiązań pracy niefachowej przy budowie szkoły

Podziwiać należy ogromną ofiarność społeczeństwa. Wiosną 1953 roku w pełni przygotowana dokumentacja została przedstawiona społeczeństwu na zebraniu wiejskim przy udziale władz powiatowych, głównego inwestora, inspektora nadzoru jak też przedstawiciela Mieleckiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego jako głównego wykonawcy. Następnego dnia na plac budowy zajechały samochody ciężarowe z materiałami budowlanymi, zbudowano barak na składowanie materiałów i pomieszczenie dla kierowania budowy. W międzyczasie przygotowano materiał na budowę fundamentów tj. kamień ze zburzonej szkoły. Roboty niefachowe jak wykopy pod fundament, doły na wapno i gaszenie wykonywali mieszkańcy według listy zobowiązań pod nadzorem kierownika budowy Felka Furmanka. W okresie 7 miesięcy budynek został postawiony. Na jego oddanie do użytku przybyli nie tylko mieszkańcy ale też z okolicznych wsi z młodzieżą szkolną. Jak na ówczesne czasy był to w powiecie kolbuszowskim pierwszy obiekt oświatowy. Warunki pracy zmieniły się, piękne, jasne izby lekcyjne, sanitariaty, parkiet lśnił czystością. Zmiany organizacyjne w oświacie pozwoliły na zatrudnienie czwartego nauczyciela. Szkoła stała się obiektem kultury i nauki. Środowisko pozytywnie ustosunkowane do pracy w szkole pozwoliło na głębsze zainteresowanie się życiem społeczno -politycznym. Mogłem w tym środowisku utworzyć zespół teatralny, który mógł brać udział w eliminacjach powiatowych, często wyjeżdżaliśmy z występami do okolicznych miejscowości jak: Cmolasy, Trzęsówka, Ostrowy Tuszowskie, Wola Rusinowska. Powołałem do życia Uniwersytet Powszechny, którego zajęcia odbywały się w soboty i niedziele w okresie jesienno-zimowym. Jako kierownik z Radą Uniwersytecką opracowałem program zgodnie z potrzebami i zainteresowaniami środowiska, dominowały tematy rolnictwa, ogrodnictwa, zdrowia, wychowania prawa. Wykładowcami byli dojeżdżający profesorowie z Technikum Rolniczego w Weryni, lekarze z Kolbuszowej, inspektoratu szkolnego, sądu, Koła Gospodyń Wiejskich, z Wydziału Rolnictwa. Powołany został Ludowy Zespół Sportowy z dyscypliną siatkówki i tenisa stołowego. Zespoły te brały udział w rozgrywkach rejonowych zajmując czołowe miejsca. Jedną z bodaj najważniejszych organizacji mających na celu bezpieczeństwo przeciwpożarowe było powołanie do życia OSP. Gęsta zabudowa, pokrycia słomiane stwarzały warunki łatwego zagrożenia pożarowego. Na jednym z zebrań wiejskich z udziałem przedstawiciela Powiatowej Komendy Straży Pożarnej został powołany z inicjatywy kierownika szkoły Jana Serafina komitet założycielski OSP w skład którego weszli jako przewodniczący Jan Serafin, członkowie: Bajor Franciszek, Chmielowiec Stanisław, Bajor Stanisław. Po zapewnieniu że takowa straż jest w stanie utrzymać w odpowiedniej sprawności sprzęt, przydzielono nam motopompę M-200 z podstawowym wyposażeniem początkowo skromnym, w miarę zaś upływu czasu uzupełnianym do właściwego. Dziś ta organizacja posiada remizę, samochód, mundury robocze jak

też wyjściowe oraz sztandar, który został poświęcony w 53 rocznicę powołania straży. Jednak tu muszę wspomnieć, że nie ominęła mnie ta cenna nagroda i jak mogę określić najbardziej sprawiedliwa w moim życiu to złota odznaka dziś już honorowego strażaka.

Do pracy środowiskowej należy też praca w spółdzielczości samopomocowej, gdzie przez wiele lat pełniłem funkcję sekretarza Rady Nadzorczej Związku Samopomocy Chłopskiej. Miło wspomina się lata okresu powojennego, ciężkie czasy jednak na każdym kroku widoczny wzrost gospodarczy, zmiana oblicza wsi, rozwój nauki, jednak wśród tego również nadużywanie swoich stanowisk i tej legitymacji pierwszych obywateli państwa. Mimo że i ja ją posiadałem popadłem w konflikt na tle politycznym i postanowiłem opuścić tę placówkę. Na własną prośbę znalazłem placówkę na drugim krańcu Polski, nad Bugiem w powiecie siemiatyckim. Kraina urocza, biedne tereny, ludność zróżnicowana, 50 % Białorusinów i 50 % Polaków. Pełna szkoła 7 klasowa, 225 uczniów i 10 nauczycieli. Inspektorat Oświaty w Siemiatyczach zaakceptował mnie na stanowisko kierownika w Szerszeniach w czwartej co do wielkości szkole w powiecie. Problem bardzo ciężki, brak bazy materialnej, szkoła w 3 budynkach drewnianych po 2 izby w każdym budynku w odległości 400 m. w trójkącie równobocznym. Przy głównym budynku kuchnia i pokój jako mieszkanie dla kierownika. Konflikty w gronie dochodzące do zwolnień dyscyplinarnych i przeniesień. Ustępująca kierowniczka przedstawiła nie pełną sytuację środowiska nauczycielskiego i społecznego, pokrywało się to z informacją Inspektoratu Szkolnego. Potrzebny nam kierownik z obcego terenu, tak powiedział inspektor Władysław Goliński. Najważniejsze dla nas to atmosfera grona i środowiska. A co ze szkołą ? Zapytałem ! Jesteśmy w planie o czym najlepiej poinformować się musicie w Kuratorium? Dostaniecie delegację i po rozpoczęciu nowego roku szkolnego trzeba jechać. Mając doświadczenie co do budowy poprosiłem kierownika inwestycyjnego o przedstawienie teczek z dokumentacją. Pusta teczka z jednym pismem z Kuratorium. Posiedzenie Rady Pedagogicznej, zaznajomienie się z nauczycielami, jeden mężczyzna i ja oraz 9 kobiet. Nauczyciele jak to zwykli pedagodzy bez wyższego wykształcenia (licea pedagogiczne i rozpoczęte studia zaoczne na SN). Krótka charakterystyka założeń roku szkolnego z udziałem przedstawiciela Inspektoratu Szkolnego i miejscowego społeczeństwa. Po uroczystości krótkie spotkanie z Komitetem Rodzicielskim, ogólne założenia oraz informacja o pracy. Zastępca Inspektoratu uczestniczący w tym spotkaniu stwierdził, że to co miało miejsce w dniu dzisiejszym wprowadza atmosferę pojednania i współpracy w gronie i środowisku. Przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego w swoim wystąpieniu ocenił obiektywnie dotychczasową pracę i zaakceptował większe zainteresowanie się szkołą. Rejon szkolny był bardzo rozległy począwszy od miejscowości Szerszeń, Boratyniec Ruski, Moszczona Królewska, Radziwiłłówna,

Pankowicze, Oksiatycze, Maćkowicze najdalej odległe to Anusin 5 km. Najważniejszym jednak problemem zostaje budowa szkoły. Pojechałem do Białegostoku do Kuratorium. Spotkanie moje miało miejsce w Referacie Inwestycji. W czasie spotkania z miłym młodym człowiekiem - kierownikiem referatu, zaczęliśmy omawiać założenia budowy. Teczke stanowiła skromna dokumentacja bez założeń i planów. Ujęta jednak była budowa tej szkoły na rok 1961. Budowa szkół wówczas wymagała odpowiednich założeń przesłanych do Kuratorium przez inspektoraty oświaty. Stanowiły to mapkę terenu i dokument własności działki, zobowiązania środowiska na rzecz budowy oraz pełną dokumentację techniczną, którą miało zlecić do wykonania Kuratorium. W niedługim czasie bo w przeciągu 6 miesięcy zostało to wykonane. Dla mnie to najważniejsze było zorganizowanie zebrań i podjęcie zobowiązań na rzecz budowy. Powołaliśmy na zebraniach trójki Komitetu Budowy Szkoły. Sporządzono listy z podpisami. Na każdym z zebrań padały pytania czy można polegać na p. kierowniku słowach, że ta szkoła będzie budowana? Bo od 10 lat już mowa jest o tej budowie. Zapewniam mieszkańców, że będzie i nie zawiodłem ich. Wreszcie na wyznaczony plac budowy przyjechał spychacz do niwelacji terenu, znikł problem niepewności. W ślad za tym zobowiązani mieszkańcy dowozili żwir na fundamenty posadzki i stropy. Teraz to wierzymy, że będzie nowa szkoła powiadali co bardziej sceptyczni. Przyjechały koparki, samochody z materiałami budowlanymi. Surowca jak żwir i piasek nie brakowało w tym rejonie. Budowa rosła i w 1962 roku stanął budynek w stanie surowym. Znormalizowała się praca w szkole, nauczyciele pracowali ofiarnie w ramach zajęć pozalekcyjnych. Zorganizowałem kółko geograficzne, co wiązało się niemal z moim kierunkiem studiów, które ukończyłem po złożeniu pracy dyplomowej i jej obronie w Warszawie przed Komisją Egzaminacyjną Z. S. A. Moją domeną to praca społeczna i związkowa. Tam rozpocząłem prowadzenie obozów wędrownych po Pojezierzu Mazurskim, wycieczek nad morze i do Puszczy Białowieskiej. Udział w olimpiadach geograficznych uczniów był rezultatem działalności kółek zainteresowań. Jako instruktor Powiatowych Spółdzielni Uczniowskich organizowałem szkolenia opiekunów przy współudziale księgowych Powiatowego Związku Samopomocy Chłopskiej. Pracowałem w radach narodowych niejednokrotnie jako członek komisji oświaty i kultury, otrzymując wyróżnienia, dyplomy i listy pochwalne. Jak inne było środowisko etniczne ale z dumą muszę stwierdzić, że lepsze do pracy, gdyż istnieje tam rywalizacja o wyniki i uznanie. Ofiarni ludzie białostoczczyzny zostają na zawsze w pamięci., dlatego tak często ich wspominam i ziemię te odwiedzam. Jestem im jednak dłużny, gdyż nie uczestniczyłem w otwarciu nowej szkoły. Byłem już na innej placówce i to nie gorszej bo pracy mi nie brakowało. To już była przedostatnia droga powrotu na rodzinną ziemię kolbuszowską do swojego własnego domu. Obca jak do tej pory była mi ziemia Pojezierza Łęczyńsko

- Włodawskiego. Piękne parczewskie lasy posiadające jeszcze do tego przeszłość historyczną to jest bazę partyzancką różnych ugrupowań politycznych i ich zbrojnych oddziałów. Miejscowość Drozdówka z niezapomnianą dla mnie przeszłością. Nie sposób wspomnieć o bohaterach lasów którzy odbywali niejednokrotnie przedwyborcze spotkania z mieszkańcami tejże miejscowości w latach 60 - tych. Będąc u steru rządów nie zapomnieli o trudach życia partyzanckiego. Mieli wpływ na to by zrewanżować się temu biednemu społeczeństwu. Najważniejszy problem stanowiła budowa szkoły ponieważ takowej nigdy nie było. Budynek w którym odbywały się zajęcia był własnością miejscowego kierownika szkoły, stary wyeksploatowany. Kierownik i jego żona p. Kuszykowic Aleksander i Maria całe swoje życie spędzili w tej rodzinnej miejscowości. Dwa pokolenia to byli ich wychowankowie. W tym czasie p. Kuszykowic odchodził na zasłużony odpoczynek objąłem stanowisko kierownika szkoły. Szkoła 7 - klasowa o trzech nauczycielach. Konieczna była budowa nowej szkoły obiecana przez władze wojewódzkie. Wierzyłem w to, że tam gdzie pracowałem nigdzie władze nie zawiodły w takich przedsięwzięciach. Dużą pomocą w realizacji tych zamierzeń byli płk. Władysław Pawelec, były partyzant lasów parczewskich, Biernacki, Florek Kazimierz. Kondracki i wielu innych. Mając doświadczenie w realizacji takowych zamierzeń udaliśmy się w delegacji do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, nie zastaliśmy jednak I sekretarza Władysława Kozdry w związku z jego wyjazdem w delegacji do Chin Ludowych. Zastępca Wójcik przyjął nas obecnych płk. Władysława Pawelca, Biernackiego i mnie. II sekretarz otrzymując pełną realizację o konieczności budowy szkoły analizując tę sprawę mówi o trudnościach z jakimi boryka się Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego i braku limitu, nie jest możliwe w najbliższych latach ująć (w trzech latach) w planie tej inwestycji. Wówczas zwróciłem się do tow. sekretarza, że na spotkaniu przedwyborczym I sekretarz tow. Władysław Kozdra zapewnił, że szkołę otrzymają. Sekretarz wówczas odpowiada " to inna sprawa". Podejmuje słuchawkę i wzywa przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego na krótką rozmowę. My zostaliśmy przeproszeni by poczekać na korytarzu. Rozmowa z nim nie trwała długo. Poza nim poproszono nas aby poinformować jaka została podjęta decyzja. Okazało się, że pozytywna i wiosną 1963 r. zostanie rozpoczęta budowa. Mieliśmy z czym wracać. Odbyło się zebranie wiejskie z udziałem przedstawiciela Inspektoratu Szkolnego, członków delegacji oraz głównym inwestorem Wojewódzkiej Spółdzielni Pracy w Lublinie. Podjęto zobowiązanie deklarując wystarczającą ilość dniówek do robót niefachowych. Środowisko żyło całkowicie sprawą budowy. Na wiosnę 1963 roku już w miesiącu lutym dotarły pierwsze samochody z cegłą gdyż później dojazd mógł być utrudniony ze względu na brak bitej drogi. Rozładowano już do wiosny kilkadziesiąt tysięcy cegły na placu przeznaczonym pod budowę szkoły. Z chwilą pełnej odwilży

i zniknięciu śniegu, dokonano niwelacji terenu i wykopów pod piwnice. Na pięknym placu w rok stanął okazały budynek w stanie surowym. Opracowany został akt erekcyjny i wmurowanie kamienia węgielnego w którym wzięli udział darczyńcy oraz okoliczni mieszkańcy. W międzyczasie niecodzienną uroczystością było pożegnanie jubilatów państwa Kuszykowiców. Następną uroczystością to oddanie do użytku w 1964 roku szkoły przystosowanej do prowadzenia kolonii letnich dla dzieci których rodzice pracowali w spółdzielniach pracy na terenie województwa lubelskiego. Wyposażenie było odpowiednie, cały dół budynku stanowiła jadalnia na 130 osób, kuchnia, magazyn żywnościowy, magazyn na sprzęt kuchenny, umywalnie z prysznicami dla grupy 20 osobowej, umywalki korytowe, kotłownia c.o. z jednym piecem na ciepłą wodę, na parterze sala gimnastyczna, świetlica, pracownia zajęć praktyczne - technicznych, gabinet lekarski, kancelaria kierownika i we dla chłopców. Woda dostarczana była ze studni głębinowej (głębokość 60 m.), według obliczeń mogła zaopatrzyć osiedle 25 tysięcy mieszkańców. Przed szkołą był plac apelowy, boisko do koszykówki, do piłki ręcznej oraz siatkówki. Na obejściu szkolnym znajdowała się alejka z jednej i drugiej strony aleje róż, a od strony północnej stare akacje, pachnące krzewy, pod akacjami ławki. Trawniki były koszone na bieżąco, ogrodzenie siatką całej działki 60 arowej. Rok rocznie są organizowane kolonie a Jezioro Gumienko najbliższej położone o piaszczystym czystym dnie było miejscem kąpieli dzieci młodszych oznaczone bojami, zaś starsze pod okiem ratownika. Dokąd nie było kolonii to prowadziłem sam osobiście obozy wędrowne. Z chwilą gdy zostały zorganizowane przez okres 8 lat byłem kierownikiem kolonii. Istniało tam aktywne Koło Gospodyń Wiejskich, w pracy tej byli włączeni nauczyciele. Uniwersytet Powszechny cieszył się powodzeniem, przyjeżdżali prelegenci delegowani przez Zarząd Wojewódzki zgodnie z zainteresowaniami środowiska. Prelekcje odbywały się w soboty i niedziele. Prelegent mieszkał w szkole i wracał na drugi dzień. Szkoła miała kształt litery "L" w krótszym skrzydle były dwa mieszkania, na górze dla kierownika, dwa pokoje z kuchnią, łazienka i spiżarka. Na dole pokój i kuchnia z łazienką oraz spiżarka. 10 lat pobytu tam wspomina się miło. W przeciągu 8 lat w tej szkole przebywały na praktyce uczennice Liceum Pedagogicznego z Lublina. Dobrzy pedagodzy naszej szkoły otrzymywali wysokie oceny za swoją pracę. Ja w tym czasie otrzymałem za swoją działalność złotą Odznakę ZNP oraz Srebrny Krzyż Zasługi. Środowisko doceniało moją pracę. Organizowałem wycieczki do Warszawy z dorosłymi i na występ "Mazowsza", które dostarczały uczestnikom wiele wzruszeń i przeżyć. Młodzież uczestniczyła w obozach, wycieczkach i nie zapomniała o swoim wychowawcy, do tej pory przysyła kartki z wielu okazji a nawet odwiedza nas. Mam satysfakcję przebywać u nich z okazji wesel czy innych spotkań, mile są widziani w mojej posiadłości. Tak też co roku mogę być, by wspomnieć sobie ten miły czas, który nigdy już nie wróci.

W roku 1972 po tej wędrówce wróciłem na swoją posiadłość by dalej pracować pełen doświadczeń w pracy zawodowej i społecznej. Zostałem zatrudniony jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Hadykówce, gdzie pracowałem do 1979 r. W dalszym ciągu tkwiła we mnie potrzeba pracy społecznej. Niewielkie jednak pole do działania, wiele się zmieniło na korzyść środowiska w związku z oddaniem do użytku Zakładu Ceramiki Budowlanej, która była opiekunem szkoły. Zakład chętnie udzielał pomocy w dostarczaniu środków lokomocji na wycieczki młodzieży szkolnej do Zakładów Metalowych w Nowej Dębie, do Sandomierza, Łącuta i Rzeszowa. Przy pomocy urządzeń mechanicznych wyrównano teren do gier sportowych. Prowadziłem SKS w ramach zajęć pozalekcyjnych, były osiągnięcia w tenisie stołowym, na zawodach rejonowych uczniowie zajmowali pierwsze i drugie miejsca w grach zespołowych i indywidualnych. Co roku odbywały się obozy wędrownie według opracowanych tras jak: Bieszczady, Pojezierze Łęczyńsko - Włodawskie, Wyżyna Sandomierska, Góry Świętokrzyskie. Wieś była zgazyfikowana a szkoła nie posiadała gazu, jak i też remiza OSP. Dokumentacja była wykonana ale jednak nie została zatwierdzona przez Rejon Gazownictwa w Sandomierzu i Tarnowie. Zdecydowałem się na załatwienie tej sprawy. Otrzymałem zezwolenie na wyjazd wraz z delegacją służbową od dyrektora szkół gminnych Józefa Krupy i w ciągu jednego dnia tą sprawę załatwiłem. Gaz podłączono natychmiast do kuchni szkolnej w której przygotowywane były posiłki dla dzieci w ramach dożywiania. Za swoją pracę zawodową i społeczną nie zostałem specjalnie wyróżniony, nie otrzymałem złotego krzyża zasługi za 25 lat pracy zawodowej. Wydział Oświaty docenił mój wkład pracy ale skromnie mówiąc przeoczył moją osobę.

W 1975 r. w czasie wizyty kuzynów z USA otrzymałem propozycję wyjazdu na pobyt czasowy. Po otrzymaniu zaproszenia bez problemów otrzymałem paszport, jak też w Konsulacie USA w Krakowie wizę na dwumiesięczny pobyt. Po załatwieniu wszelkich formalności wyleciałem 29 czerwca 1975 r. do Stanów Zjednoczonych. Pobyt mój trwał 2 miesiące i powróciłem 29 sierpnia 1975 r. Będąc w Stanach uczestniczyłem w wielu uroczystościach jak np. święto Wojska Polskiego w amerykańskiej Częstochowie, 4 lipca Święto Niepodległości USA. Soboty i niedziele to wycieczki organizowane przez Polonię. Mogłem zwiedzić w Nowym Jorku muzea, Central Park, piękne i bogate dzielnice, wieżowce itp. Poza tym widziałem przepych i nędzę, brudne dzielnice i ubogich ludzi, przepych i bogactwo. Zostanie to na zawsze w mojej pamięci. Miło było spotkać krewnych, którzy wybyli do USA w latach 60- tych i już posiadali własne domy i samochody. Ja nigdy nie pomyślałem o tym, że kiedyś tam będę i tą cudowną Amerykę zobaczę.

Moje marzenia się spełniły w 1979 r. w dniu 2 sierpnia wyjeżdżałem z Polski z myślą, że zaraz nie powrócę. Wiza turystyczna upoważniała mnie

na pobyt 6 miesięcy. To nie ja jeden wyjechał z taką samą myślą dorobić się i powrócić do kraju. Stany Zjednoczone to dla mnie państwo zupełnie obce, żadna znajomość języka to główna bariera kontaktów między ludźmi. Jednak silna wola pozwala człowiekowi pokonać barierę. Jestem w rejonie silnie rozwiniętej Polonii. Najważniejsze dla człowieka to mieszkanie i praca jednak o jedno i drugie wówczas nie było trudno. Najważniejsze jednak dla mnie to było żeby spotkać się z synem, który tam od roku przebywał. Dzięki pomocy kuzyna mojej żony doszło do spotkania. Rodzina polska w której się ożenił sprawiała wrażenie dobrej, solidnej ale nieprzyjaznej dla mnie i do ojczystego kraju. Pozostałem u nich na okres 4 miesięcy, pracowałem w dzień w fabryce razem ze swoim swatem. Traktowano mnie jak zupełnie obcego i wrogiego im osobnika. Zostałem zwolniony z pracy i pojechałem do swojej ciotki, którą tam miałem a było to w stanie N.J. Czekał tam na mnie mąż mojej kuzynki Alfredy Wit. Podróż autobusem (Sabwey) i kolej podziemna, znalazłem się na terenie Green-poieiu, gdzie przebywałem do końca mojego pobytu. Do pracy poszedłem po dwóch dniach do firmy włoskiego właściciela u którego pracowali sami Polacy przy oczyszczaniu drzewa z budynków ocalałych podczas pożaru. Praca polegała na wyciąganiu gwoździ, cięciu na odpowiednie wymiary, obcinania na pile tarczowej na bale i deski. Opalane drzewo brudziło ubranie i ręce. Każdy musiał czuwać nad własnym bezpieczeństwem. Warunki sanitarne- w polowej szopie sanitariaty, dwie umywalki i proszek do mycia rąk w zimnej wodzie, szafki na ubrania i żywność , 10 godzin pracy na wolnym powietrzu. Jesień pogodna i sucha, nadchodziła jesień. Wiatry i chłody dawały się we znaki. Pracowałem tam do miesiąca lutego 1980 r. Wynagrodzenie 2 dolary na godzinę bez jakiegokolwiek ubezpieczenia. Dzięki bliskim kontaktom otrzymałem pracę w fabryce materiałów. Żyd polskiego pochodzenia z okolic Gorlic imienia Witkor szukał pracy dla Polaków na jeden tydzień. Praca ta wymagała dużego wysiłku fizycznego, był to początkujący szybko rozwijający się zakład żydowski., którego menadżerem był młody Żyd pochodzenia rosyjskiego. Także w tym zakładzie pracowałem do 1991 roku.

W pierwszych latach nie mogłem przyzwycząić się do tej monotonnej pracy i tęskniłem za szkołą. W tym czasie nastąpiła masowa emigracja z Polski. W niektórych ośrodkach polonijnych rodzice tworzyli szkoły sobotnie z nauczaniem jedynie j. polskiego. Zaangażowałem się do takiej szkoły na 5 godzin w sobotę dojeżdżając do stanu N.J. W szkole tej pracowali nauczyciele nie posiadający kwalifikacji pedagogicznych, byli uchodźcy z 1939 r. którzy Ojczyznę opuścili mając za sobą bogatą przeszłość emigranta: lekarze, inżynierzy i wojskowi. Współpraca z nimi układała się bardzo dobrze. Organizowali spotkania, wycieczki tworząc zwartą grupę polonijną. Jako dojeżdżający miejskimi środkami lokomocji zajmowało mi wiele czasu. Dwie godziny w jedną stronę metrem i autobusem. Jednak po 5

latach zrezygnowałem z tego dojazdu, którego mile wspominam gdyż miałem zapewnioną pracę na miejscu. Tęsknota za ojczyzną nie ustępowała, okres stanu wojennego niepokoił mnie, jak rodzina, żona i dzieci. Niejeden raz byłem gotów powrócić. Pisanie listów, wysyłanie paczek nie zaspokoilo potrzeb duchowych. Przyjechać nie mogłem aby tam z powrotem wrócić. Rząd USA wydał amnestię dla ludności i krajów europejskich o uzyskanie stałego pobytu. Korzystając z tej amnestii po 10 latach pobytu w USA odwiedziłem swój ojczysty kraj. W międzyczasie przyjechała do mnie żona i 2 synów, zięć i szwagier. Pobyt ich nie trwał dłużej jak 2 lata, żona była 6 lat i powróciła w związku z chorobą córki do opieki nad dziećmi. W 1986 roku przebywałem w szpitalu w związku z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego, koszt leczenia wynosił 6.500 dolarów a po raz drugi w 1996 r. ostre zapalenie woreczka żółciowego. Ten pobyt pokryła socjal sekurita z tytułu ubezpieczenia. Kiedy żona uzyskała prawo stałego pobytu żyliśmy wspólnie pracując spokojnie aż do powrotu do ojczystego kraju.

Zastaliśmy teraz naszą Ojczyznę z wieloma problemami i wielkimi trudnościami gospodarczymi, szarpaną i zniszczoną, niebezpieczną i ciągle wzrastającym bezrobociem. Majątek narodowy coraz to mniejszy, klasa bogatych upływa w dostatkach a nędza rośnie niewspółmiernie. Wolna, suwerenna, niepodległa Ojczyzna nie jest w obecnym stanie zaspokoić obecnie trudnych problemów społecznych, kulturalnych i naukowych. Odstajemy od krajów rozwijających się, zamiast iść do przodu to cofamy się lub stoimy w miejscu. Obecnie niektóre rządy spod znaku "prawicy" i ich reformy niszczą dorobek 50 - lecia. Dziś moje pokolenie kończy swój okres działalności i wielu z nas już odeszło, wiele posiada za swą pracę emeryturę, która nie jest w stanie zabezpieczyć normalnego bytu. 423 zł netto to ma wystarczyć na potrzeby życia człowieka, który pracował sumiennie dla dobra Ojczyzny.